

OPIEKUN DZIAŁTWOY

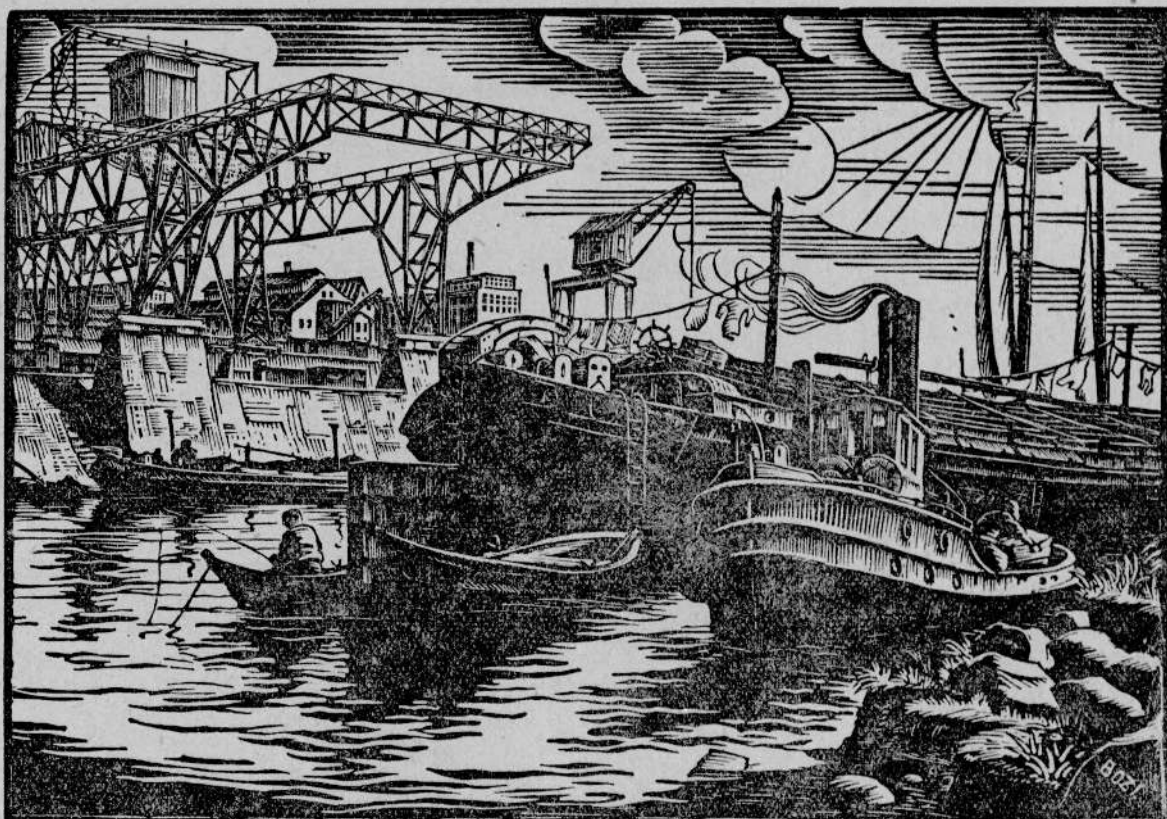


BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 26

WĄBRZEŻNO, DNIA 12 WRZEŚNIA 1936 ROKU

ROK 6



GDYNIA

— — błyska elektryczna zorza
i pieśń pracy rozbrzmiewa tonem przepotężnym,
grzmiącym, niebosiężnym! —
Młoty huczące dźwiękiem stalowym,
spізowym,
mosiężnym —
rozśpiewały się jak dzwoniące gongil
Węglem ładowne pociągi
sapią płucami łoków w rozszalałym rytmie,

a w rozpedzonych kół gonitwie
i warkocie,
— w pojęku okrętowych syren,
— w żagli łopocie,
— w portowych dźwigów zgrzycie,
— marynarskim pocie,
— w Polskiej serdecznej aorcie: —
— w gdyńskim porcie tętni życie!!!

Zbigniew Jasiński.

Zbigniew Jasiński.

...Już dziś!

Wstrząsana porywami bałtyckich wichrów, rozklekotana mizerna, febrycznie dygotała z zimna rybacka wioszczyzna. Wczoraj jeszcze przez brudne szyby mrocznych chałupinek wyzierały pustka, martwość, nędza i głód.

Lecz „wczoraj” skończyło się, minęło bezpowrotnie.

Krzepkimi dłońmi robotników wycięto w torfiskach kanały, zamieniono bagna w baseny i już dziś majestatycznie suną po nich okręty. Wyniosła naprzód podaną piersią prują zmaczone mułem fale, odwalają srebrzysto szare skiby w dwie strony, dzielą zmarzłą powierzchnię wód gdyńskiego portu mleczną sepią kilwatru: smugą wykwitającą spienionym wachlarzem z pod rufy statku.

Wprawne oko wnetby poznało, że statek przeszedł właśnie tędy. Ale nie pozna, bo niezliczone kilwatry krzyżują się dziesiątnie i setnie, na ukos i w gwiazdy, w trójkąty, romby, trapezoidy. Zataczają wrzące bryzgami parabole, gną się w piennych łukach wiażą w splątane, szumiące węzły.

Małe i zwinne rybackie kutry, prychając motorkami, żwawo uwijają się po basenach. Młode buhaje — holowniki, rozjuszenie pędzące w dal, porykują zawadjacko, wściekle i mocarne. Zaspiane dragi — pogłębiarki szczękają zębami czerpaków. Za holownikami mkną do drag niezgrabne kropy, by wywieść wydarty dnu piach Gorączkowo huczą i wyją syreny dużych węglowców. Bezradnie wlecze się ciężki, okrętowy dok. Piękna i wysmukła elegantka, motorówka wrzyna się w fale srebrzyście. Lawiruje żaglowia łódź. Majestatycznie, wspaniale sunie dumny i pyszny, gigantyczny kolos, transatlantyk.

Stalowy lud okrętów — olbrzymów i stateczków — liliputów dymiąc z kominów żółto — czarną kurzawą, dąży do mola, gdzie drzemią na lśniących szynach czerwone szeregi pociągów. Zgrzytają portowe dźwigi, zachłanne paszcze czerpaków drapieźnie porywają wagony węgla, fosfatu, rudy, — przenoszą je okrągłym ruchem nad okręt i rozwierają się nad lukami mienasyconych otchłani — triumów. Czarny, szary lub brunatny pył kłębi się ciężkim i gęstym tumanem z zięjących przepaścią wewnątrz międzypokładu, gdzie znikło już dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści pociągów ładunku.

To nie, w porcie jak w fabryce, praca wre nieustannie.

Olśniewająco zabłyśły portowe lampy: tysiąc słońc. Od Helu i Rozewia prożektory morskich latarni ślą w ociemniałą staną dal białe smugi światła: wirujące skrzydła wiatraków. — Statki lypią oczami zielonemi i czerwonemi. Falszfojery przy wjeździe do portu naprzemian zapalają się i gasną zapalają się i gasną. — — — Ostrzegawczo, nieustannie, niezmordowanie!

Milion gwiazd białych na niebie. Milion gwiazd w porcie, różnokolorowych i rozmruganych — —

Wracają zmiany uznojonnych trudem dnia robotników. Buchają w nich z portowych knajp, międzynarodowych spelunek i marynarskich tawern pijackie głosy. Śpiewy, krzyki, śmiechy, przekleństwa. Zioną wyziewy piwa, wódki, tytoniu i ludzkiego potu. Ryczy w miasto wrzaskliwy hymn bezrobotnych zejmanów:

„Ej, Gdynia, garadok,
czto za nacja! —
Razbój, grabióz,
Spiekuliacja! —“*)

A w samym mieście snopami tęczy barw tryskają świetlne reklamy. Zapraszają do wnętrza kin, barów, traktjerni, Dancingi i kabarety jazgoczą drzezbendami. Warczą motory rozpedzonych aut.

Świt — — —

Szmaragdem i złotem opalizuje morze, wyją okrętowe syreny. Wysokim, minorowym tonem holowniki. — stentorowym basem, poważnie, statki dalekobieżne. Z dali, poprzez chaotyczny rozgwar dźwięków, przeciska się szczekanie wojennych torpedowców i traulerów, krótkie, urywane. Wschód słońca wita morze, port i trzydziestotysięczne miasto, upstrzone czerwienią i bielą na tle piaskowo — zielonych zboczy Kamiennej Góry i Oksywie.

Budynki, budowle, gmachy. Wykończone i ze szkieletami rusztowań. Spiętrzony stosu cegieł, praca, praca. Łoskot żelaznych ubijaczy, gniotących kamienie w jezdnie ulic. Huk katarów, wbijających nowe pale pod nowe mola. Gwar, szum zamęt, chaos, — życie ruch!

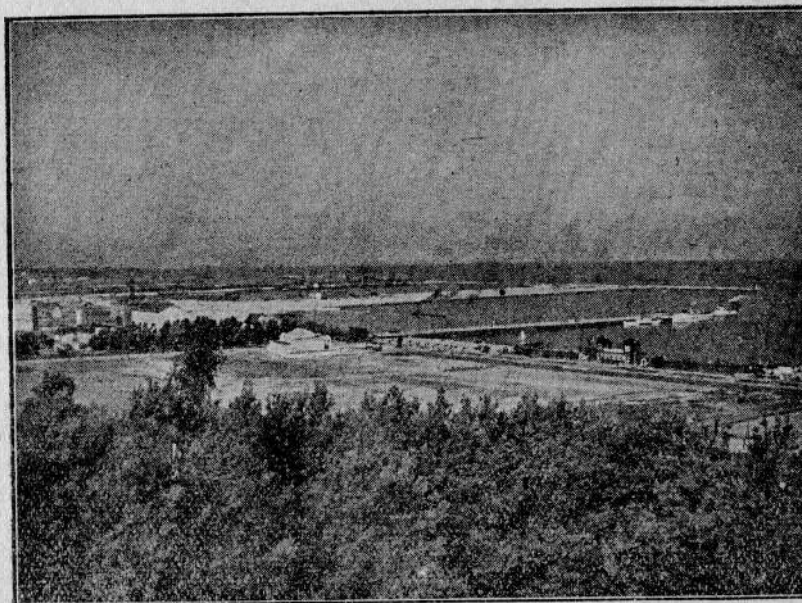
Tak żyje Gdynia dziś i już dziś!!!

* I w porcie gdyńskim usłyszeć można język rosyjski.

~~~~~

## WACHTA.

W nocnej wachty porze  
sen mi z powiek zgania  
myśl, że mam kochania  
aż dwa: Ją i Morze! —



OGÓLNY WIDOK NA PORT Z KAMIENNEJ GÓRY.

STANISŁAW SOJKA.

# Błędny ognik

Niedaleko małego miasteczka w Wielkopolsce rozciągają się ogromne błota i bagna, w środku których płynie rzeka Barycz. Bagna te dziś już nie tak groźne jak kiedyś, więc i mniej legend o nich powstaje — dawniej jednak co pewien czas miał miejsce jakiś wypadek. To chłopiec wpadł w błoto, to starzec jakiś zablądził, to wóz ugrzązł po koła. Przyczyną tych wydarzeń miał być pono błędny ognik. Dróg bitych nie było, więc przechodnie widząc światelko szli za nim i wtenczas stawało się nieszczęście.

Błędny ognik prowadził wszystkich w bagno. W miasteczku mieszkał w ślicznie zbudowanym zamku bogaty pan, którego wszyscy nazywali kasztelanem, bo sprawował wysoki urząd. Otóż pan kasztelan srodze martwił się wypadkami na bagnie, gdyż wielu jego ludzi tam potonęło. Przytem ogromnie bała się strachów jedyna jego córeczka, którą kochał nade wszystko. Te dwa powody skłoniły go do wyznaczenia wielkiej nagrody temu, ktoby usunął błędny ognik z bagien.

Niedługo trwało, a zgłosił się na zamek kasztelański pewien młodzieniec, który podjął się wypełnić życzenie kasztelana.

Pewnej bezksiężycowej nocy wyszedł na bagno, zabrawszy ze sobą tylko różaniec. Długo chodził po nieznanym sobie miejscach i już sądził, że się zabląkał, gdy wtem ujrzał światelko.

— Acha! — pomyślał — to pewnie błędny ognik. Przeżegnał się, zmówił różaniec i udał się za bladym płomykiem.

Błędny ognik posuwał się po błotach w różne strony i zdawało się, że prowadzi młodzieńca w najniebezpieczniejsze miejsce. Młodzieniec jednak bardzo zwinnie omijał doły i kałuże i wytrwale biegł za swoim celem. W pewnym momencie, gdy błędny ognik znajdował się tuż pod jego stopami rzucił przed siebie różaniec, tak że płomyk został okolony paciorkami. Siła jakaś zatrzymała światelko w miejscu, lecz jednocześnie stała się rzecz nadzwyczajna. Po całym obszarze bagien rozległy się przerażające jęki, piski, zgrzyty. Poznał nasz bohater, że ma do czynienia z siłą nieczystą i postanowił rzecz tę zbadać.

— Kto jesteś? — rzucił pytanie w stronę błędnego ognika.

Zrazu żadnej odpowiedzi, tylko jęki stawały się coraz głośniejsze — w końcu dopiero głos.

— Uwolnij mnie z kajdan, a wytłomaczę ci!

— Kto jesteś? — powtórzył pytanie młodzieniec, podnosząc różaniec.

— Jestem przeklęty za moje grzechy. Byłem dawniej zbójcą w tych oto sąsiednich lasach. Wszystkich, których rabowałem, topiłem w tych oto bagnach. Po śmierci dusza moja została zamieniona w błędny ognik, aby ludzi przesładować tak długo, ażby się znalazł człowiek, któryby mnie od kary uwolnił. Tym człowiekiem miał być mój potomek na zamku.

— To kasztelan jest twoim potomkiem?

— On właśnie, lecz że nie uwolniła mnie jego ręka ni jego rozkaz, będę cierpiał jeszcze wieki.

— Jestem przysłany z rokazu kasztelana.

— Sprawiedliwe są niebiosy — puść mnie szatanie, krzyknął na to błędny ognik.

Słowa te, wyrzeczone niejako do kogoś nieobecnego, odniosły skutek niespodziewany. Otóż w jednej chwili znikł płomyk błędnego ognika, a w tym samym miejscu stanął człowiek z siwą brodą i siwym włosem, bogato ubrany wielki pan. Teraz młodzieniec uwierzył, że człowiek przed nim stojący mógł być przodkiem kasztelana, bo bardzo był do niego podobny.

— Dziękuję ci rzekł starzec — zwracając się do młodzieńca i wzięwszy go pod rękę, poprowadził w stronę zamku.

O kilkaset metrów od zabudowań stanął i rzekł: — Tu odbierzesz swoją zapłatę.

Rozstąpiły się bagna na dwie strony i w dole głębokim ukazała się skrzynia, którą staruszek z wielką łatwością podniósł mimo to, że była bardzo ciężka.

Otworzywszy żelazne wieko rzekł:

— To wszystko twoje! — Idź teraz do zamku i opowiedz coś widział i słyszał. Kasztelanowi powiedz, że dusza moja jest już zbawiona, a jako podziękowanie Bogu niech sieje cnotę między ludem i w domu, by drugi raz ród nasz nie był tak srogo ukarany. Ciężką bowiem jest karą, popelniać

po śmierci te same co za życia grzechy, oj ciężką.

To rzekłszy, starzec znikł.

Młodzieniec zadumał się. Nie wiedział z razu co ma czynić. Dopiero lekki powiew wieńczyka obudził go z marzeń i przypomniał, że ma pójść do kasztelana.

Kasztelan z niecierpliwością oczekiwał końca wyprawy młodzieńca, to też wielce był zdziwiony zobaczywszy go uśmiechniętego i ze skrzynią złota. Wysłuchawszy dokładnego opowiadania, tak był zadowolony, że zawołał.

— Niech będzie Bóg pochwalony — Jemu dziękuję, a potem tobie młodzieńcze boś napewno najcnotliwszym człowiekiem na świecie, skoro Bóg tobie pozwolił tak trudne spełnić zadanie, bratem mi będziesz odtąd — synem mi będziesz. Oddaje ci największy skarb na świecie córkę moją za żonę.

Radość z tego powodu była wielka i wesele odbyło się za kilka dni. — Kasztelan żył jeszcze długo, a po jego śmierci zamek odziedziczył nasz odważny młodzieniec, który wnet zastąpił jako sprawiedliwy pan i cnotliwy człowiek.



Życie uczonego.

## Historja ziarnka rzuconego do ziemi

W niedzielę znów zebrały się dzieci u Bartka. — tym razem zobaczyły na stole skrzynkę z ziemią.

— Co też nam Bartek dzisiaj pokaże? — zapytywało jedno drugie. Ciekawość była ogromna. To też, gdy tylko Bartek pokazał się w izbie, zaraz zrobiło się tak cicho, jak w kościele.

Bartek z torebki wyjął ziarno fasoli i, pokazując dzieciom zapytał: — Czy wiecie co to jest? — A ktoby nie wiedział — odezwały się głosy — to fasola! Wtedy Bartek rozdał dzieciom po ziarnku, kazał je dobrze obejrzieć a gdy gwar nieco się uciszył — zapytał: — Co cię stanie z tem ziarnkiem, gdy wrzucimy je do ziemi? — Zgnij! — spróchniej! wrona wygrzebie i zje! — wykrzykiwały dzieci. I co jeszcze? — Nowa fasola się urodzi — zawołał Jędrak.

A czy wiecie, jak to z tego ziarnka rodzi się nowa fasola? Cicho się zrobiło w izbie i wszystkie oczy zwróciły się na Bartka. Otóż dziś opowiem wam o tem, jak z ziarnka rodzi się roślina, czyli co się dzieje z ziarnkiem wrzucionem do ziemi.

W tej skrzynce — mówił Bartek — posadziłem ziarnka fasoli. Jedne z nich są w ziemi już trzy dni, inne dwa, a te które teraz wyjmuję, zasadziłem dopiero wczoraj. Przypatrzcie się im, czy tak samo wyglądają? Tak samo odezwało się kilka głosów. — Nie — krzyknął Jędrak, który razem z Antkiem pilnie się ziarnku przypatrywał, skórka jest pomarszczona! Tak tak, — przywodziły inne dzieci — pomarszczona!

A wiecie czemu pomarszczona? w izbie znów się zrobiło cicho. Wtedy Bartek zawołał Antka, kazał mu wtknąć palce w to miejsce, skąd wyjął ziarno i zapytał: — jaka jest ziemia? — Mokra odpowiedział Antek. A kiedy ziemia jest mokra? — Jak deszcz pada! jak woda w niej jest odezwały się głosy. — Już wiem! już wiem! — krzyknął Jędrak. — Ziarno jest pomarszczone, bo się napilo wody! — Zuch jesteś rzekł Bartek. A dzieci zaraz zaczęły ścisnąć fasolę, żeby z niej wodę wygnieść.

— A tu macie ziarnka, co już dwa dni leżały w ziemi, czy nic się nie zmieniły?

— O jak się wody opily! Spuchły! grubsze są! zawołało kilkoro.

— Teraz pokażę wam ziarnka, co trzy dni leżały w ziemi. Przypatrzcie się im. — Ziarnka pękło — zawołała Zosia. — Pękło, pękło! odezwało się kilkanaście głosów. — O a tu wychodzi kieltek! krzyknął Antek. — Z tego kielka rzekł Bartek — za kilka dni zrobiłby się korzonek. — Tu są małe listki — zawołał Felek, który z wielkiej ciekawości rozłupał ziarnko na połowy. Inne dzieci zaraz zrobiły to samo i przyglądały się listkom.

Bartek podniósł rękę do góry i, gdy w izbie zrobiło się cicho zaczął mówić. — Tak samo, jak z fasolą, dzieje się ze wszystkimi ziarnkami, rzuconymi do ziemi, trzeba tylko, żeby ziemia była mokra. Ziarnko namięknie, skórka się na nim pomarszczy, a potem pęka, ziarnko rozdziela się na połowy i wypuszcza korzonek i dwa małe listki. Z ziarnka robi się młoda roślina. Wszystko co żyje, musi jeść, czyli odżywiać się. Młoda roślina odżywia się, ale czem? kto powie? — Korzonkami odezwało się kilka głosów. O nie, małe dziecko, jak się tylko urodzi, to zaraz może jeść kartofle i kluski?

Młoda roślina ma przygotowany zapas pożywienia w ziarnie i tym się żywi, póki korzonek nie rozrośnie się i listki nie rozwiną. Potem to już roślina sama sobie daje radę. Za pomocą korzenia wciąga wodę i rozpuszcza w niej części mineralne, a za pomocą liści — pewien gaz, zawierający w sobie węgiel, bo węgiel roślinie konieczny jest potrzebny. Jeśli ziemia, na której roślina wykiełkowała, nie posiada rozpuszczonych w wodzie minerałów jak soli i żelaza, wapna siarki i innych, to wtedy roślina ginie. Tak samo roślina usycha i ginie, kiedy brak jej wody. W lecie często daje się widzieć takie usychanie, umieranie roślin z pragnienia, jeżeli jest wielkie gorąco, a deszcz przez długi czas nie pada.

— A to już teraz wiem, czemu to zbierają na mszę św., kiedy deszcz nie pada — zawołał Jędrak — zboża, kartofle i trawy nie mają co jeść! Dobrze zrozumiałeś rzekł Bartek — no, ale na dzisiaj już dosyć. Idźcie do domu, a nie żałujcie kwiatom w doniczkach wody.



### Krzyż w górach

~~~~~

Słoneczko

Ile razy świt bieleje,
w okna izby patrzę długo —
zali słonko wszędzie czyste,
zali skryte chmurną smugą?

Zali dzionek będzie jasny
wyiskrzony słonka twarzą, —
Czy pochmurne, wysmutnione
łezki, oczka moje zmażą?

Boć od słońca moja dusza
lic pogodę bierze zawsze —
boć słoneczko miłe, ciepłe
jest mej duszy najlaskawsze!

Więc, gdy tylko świt bieleje
w okna izby patrzę długo
zali słońce wszędzie czyste
zali skryte chmurną smugą?

W. Piwowarczyk.